



22 luty 2021 r. Leszek Konarski

Falszywy „wyklęty”

Emeryt spod Wadowic wykiwał IPN

Sprawa wyłudzenia od skarbu państwa metodą na „żołnierza wyklętego” odszkodowania przez Stanisława Matuszka ze Stryszowa pod Wadowicami to nie kolejny sprytny przekręt na wnuczka lub na policjanta, ale coś poważniejszego. 17 lutego br. Sąd Okręgowy w Krakowie, skazał 83-letniego dzisiaj emeryta na rok pozbawienia wolności z rocznym zawieszeniem i na zwrot wszystkich pieniędzy, które Matuszek otrzymał od państwa za rzekomą walkę z komunistami. Nakazał też ogłoszenie wyroku w wydaniach regionalnych „Kroniki Beskidzkiej” i „Gazety Krakowskiej”, czego domagał się prokurator i co ma być przestrożą dla wszystkich próbujących fałszować historię.

Ten krakowski proces to z jednej strony totalna klęska państwowej polityki historycznej, a z drugiej jakieś niewielkie światełko, że w Instytucie Pamięci Narodowej ktoś przejrzał na oczy, przyznał się do błędu. Najpierw szefowie IPN chwalili się niezłomnym żołnierzem spod Wadowic, zapraszali go na uroczystości, robili wspólne zdjęcia, a potem dyrektor krakowskiego archiwum IPN Rafał Dyrz przyznał na sali sądowej, że historycy zostali oszukani.

Prawdę mówiąc, żal mi tego starszego i mocno schorowanego pana, który do niedawna był walecznym „żołnierzem wyklętym” o pseudonimie „Góral”, a kilka dni temu został uznany za przestępcę. Badany był przez sądowych psychiatrów, bo myślano, że może jest paranoikiem, ale nic z tych rzeczy. Po przejściu na emeryturę chciał tylko sobie dorobić, pomóc córce w kupnie mieszkania. W drugiej połowie lat 50. miał pistolet i z dwoma współnikami napadał na sklepy, listonoszy; kradli, co się dało, szastali pieniędzmi, urządzali libacje. Teraz widział w telewizji, że w taki sam sposób „żołnierze wyklęci” zdobywali fundusze na swoją działalność. Najślynniejszy miejscowy, wadowicki, „żołnierz wyklęty” Mieczysław Wądolny też w latach 1945-1947 napadał z bronią, strzelał do listonoszy i sprzedawców. Co z tego, że w drugiej połowie lat 50. nie było już „żołnierzy wyklętych”, historycy przecież nie wszystko wiedzą. Matuszek też mógł dokonywać napadów, aby zdobyć pieniądze dla podziemnej antykomunistycznej organizacji Polska Walcząca i wszystko, co zrabował, oddawał swojemu dowódcy mjr. Szczerbakowskiemu. Z miesiąca na miesiąc wymyślał coraz to nowe napady na funkcjonariuszy bezpieczeństwa, milicjantów, członków aparatu partyjnego, w których rzekomo uczestniczył. Ale prowadzący sprawę sędzia Wojciech Kolanko, na podstawie dostarczonych przez prokuraturę i IPN materiałów oraz zeznań samego Matuszka, który na sali sądowej wielokrotnie zmieniał wersję i dalej próbował grać bohatera, nie uwierzył w te opowieści.

Stanisław Matuszek nie miał specjalnych problemów z tym, aby jego pospolite przestępstwa zostały uznane za walkę z komuną i zamienione na wielkie pieniądze. Trzeba tylko spełnić kilka warunków. Oto jego przepis na „żołnierza wyklętego”.

Siedzieć w więzieniu

Z tym nie było żadnego problemu. Stanisław Matuszek przebywał w więzieniach w Wadowicach, w Krakowie i w Sztumie, wyszedł po ośmiu i pół roku. W 1959 r. został skazany za dokonanie ze współnikami dwóch napadów rabunkowych z bronią w rękę. Najpierw na sklep Samopomocy Chłopskiej w Baczynie koło Suchej Beskidzkiej, gdzie sterroryzowali sklepową Anastazję S. oraz klientów. Zabrali kasę, wódkę, czekolady, konserwy, cukierki i inne towary za 10 tys. zł. Potem wspólnie przeprowadzili napad na listonoszkę, zabrali jej 145 500 zł. W trakcie odsiadki kary Matuszek miał drugi proces za nielegalne posiadanie broni, za co dostał sześć lat i po połączeniu obydwu kar miał do odsiadki 12 lat. Zwolniono go przedterminowo pod koniec 1967 r.

Być katolikiem

Pierwszy raz o Stanisławie Matuszku zrobiło się głośno z końcem 2004 r. W artykule opublikowanym 30 grudnia w „Dzienniku Polskim” pisano, że emerytowany pracownik Zakładów Elementów Obrabiarkowych „Ponar” w Wadowicach na swojej posesji znajdującej się przy trasie turystycznej zbudował kapliczkę i umieścił w niej wyrzeźbioną przez siebie postać Jezusa Ukrzyżowanego. Stanisław Matuszek stwierdził w artykule, że budowa tej kapliczki to realizacja marzenia jego już nieżyjącego przyjaciela, księdza, którego poznał w czasie uroczystości maryjnych w Kalwarii Zebrzydowskiej. Księdzu temu, po zobaczeniu jego domu, przyśniło się, że z tego pięknego miejsca Chrystus spogląda na ośnieżoną Babią Górę i szczyty Beskidów. Niestety, ksiądz zmarł i nie doczekał końca budowy kapliczki.

Znaleźć swojego bohatera

Stanisław Matuszek doszedł do wniosku, że jego idolem będzie miejscowy watażka Mieczysław Wądolny, który po zakończeniu wojny wstąpił do Milicji Obywatelskiej. Gdy po siedmiu miesiącach służby funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa znaleźli w jego domu kilka niemieckich automatów, pepesze, granaty i tysiące sztuk amunicji, został on osadzony w wadowickim areszcie, skąd po pięciu dniach uciekł do lasu, przybrał pseudonim „Mściciel” i utworzył liczący ok. 30 osób oddział partyzancki „Burza”, zwalczający władzę ludową. Likwidowali milicjantów, przedstawicieli władzy ludowej, nauczycieli, strzelali do współmałżonków, nawet do dzieci. Niszczyli dokumentację w urzędach, spisy ludności, akta podatkowe i kontyngentowe. Rozbroili posterunki MO w Babicach, Wieprzu, Makowie Podhalańskim, Zawoi, Mucharzu, Stryszowie, Zembrzycach. Z końcem 1946 r. oddział „Mściciela” został podporządkowany Józefowi Kurasiowi „Ogniewi”. Wądolny zginął w strzelaninie z milicjantami 14 stycznia 1947 r., miejsca pochowania jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Gdy Wądolny walczył z władzą ludową, Stanisław Matuszek był jeszcze dzieckiem, ale zapamiętał, że „Mściciel” przychodził do ich domu, bo jego ojciec podpowiadał mu, kogo należy z tego świata sprzątnąć. Czynnami „Mściciela” był tak bardzo zafascynowany, że potem przystąpił do antykomunistycznej działalności. W wywiadzie dla „Gazety Krakowskiej” (16 września 2016 r.) 78-letni „wyklęty”, opowiedział: „Mój ojciec Władysław był jego takim doradcą. Mówił np., kto jest donosicielem, a Wądolny potem wszystko realizował. Dlatego »Mściciel« często bywał u nas w domu. Pierwszy raz przyszedł, gdy miałem jakieś 10 lat. Częstował cukierkami. Potem odkryłem, co robi, i dla mnie był bohaterem. Chciałem być taki jak on”.

Czyny Wądolnego małego chłopca napawały dumą. Zastrzelono Władysława Pasternaka – I sekretarza komitetu powiatowego PPR w Wadowicach, Franciszka Mieszczka – funkcjonariusza UB w Wadowicach, w Kleczy Dolnej zamordowano chorążego RKU w Wadowicach Józefa Sadzikowskiego wraz z żoną będącą w ciąży, rodziców sześciorga dzieci, w Wielkich Drogach nauczycielkę i członkinię PPR Leokadię Łukasik, w Bieńkówce zlikwidowano Jana Rusina – działacza Stronnictwa Ludowego i posła do Krajowej Rady Narodowej, w Makowie Podhalańskim zastrzelono Szczepana Fidelusa – działacza Stronnictwa Ludowego wraz z żoną Julią. Lista ofiar jest długa: Jan Hudzik z Babic, Franciszek Kaczak z Zembrzyc, Józef Szarak z Rokowa, Jan Guzdek ze Stryszowa, Kazimierz Prokurat z Kleczy Górnej, Tadeusz i Józefa Łysiakowie z Izdebnika i wielu innych. Żołnierze WP, milicjanci, sklepikarze. Ojciec Matuszka doradzał, Wądolny strzelał. Pif-paf!

Działać w podziemiu

Przyszły „żołnierz wyklęty” jako młody człowiek miał się różnych zawodów, pracował w wiejskim kinie, był monterem instalacji sanitarnych w Hucie im. Lenina, pomocnikiem kierowcy w nowohuckim Transbudzie, górnikiem w Jaworznie. Chciał zostać pilotem, ale szybko doszedł do wniosku, że musiałyby służyć komunistom, i z tego pomysłu szybko zrezygnował, bo on od dzieciństwa chciał z nimi walczyć. Nawiązał więc w Krakowie kontakt z mjr. Wacławem Szczerbakowskim, radcą prawnym, szefem podziemnej organizacji Polska Walcząca.

Szczerbakowski, jak twierdził Stanisław Matuszek, urodził się w rodzinie ziemiańskiej na Wołyniu, studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim, potem, służąc w Wojsku Polskim, związał się z kontrwywiadem i likwidował sowieckie siatki szpiegowskie. Po wkroczeniu Niemców dostał się do niewoli, uciekł ze stalagu, odnalazł żonę i dwoje dzieci, zmienił tożsamość i pracował w urzędzie pocztowym w Tarnopolu, gdzie przechwytywał donosy na sąsiadów pisane

do sowieckich urzędów. Po zakończeniu wojny przeniósł się do Krakowa, gdzie pracował jako radca prawny. Tu też założył antykomunistyczną organizację.

Jak twierdził Matuszek, organizacja o nazwie Polska Walcząca liczyła od 60 do 100 osób podzielonych na trzy- i pięcioosobowe grupy. Wszystko było tajne, jedni o drugich nic nie wiedzieli. Zadania wyznaczał Szczerbakowski i jemu też składano meldunki oraz przekazywano pieniądze zdobyte w czasie przeprowadzanych akcji.

Nawiązać współpracę z IPN

Aby zostać uznanym za „żołnierza wyklętego”, konieczna jest akceptacja Instytutu Pamięci Narodowej i z tym emeryt spod Wadowic nie miał większych kłopotów. Opowiadał na spotkaniach o swoich wyczynach, uczestniczył w patriotycznych uroczystościach, fotografował się w towarzystwie dyrektorów IPN. Powoływał się na znajomość z Januszem Kurtyką, choć dopiero po śmierci byłego prezesa IPN. Udzielał wywiadów z okazji kolejnych rocznic śmierci Mieczysława Wądolnego i podpowiadał badaczom z IPN, gdzie trzeba kopać, aby znaleźć jego ciało.

I tak cztery lata temu, 15 stycznia 2017 r., portal Wadowice24.pl doniósł, że w trakcie uroczystości zorganizowanych przez IPN w sobotę 14 stycznia 2017 r., w bazylice Ofiarowania NMP w Wadowicach odprawiono mszę za duszę por. Mieczysława Wądolnego, ps. „Granit” i „Mściciel”, oraz za jego żołnierzy, w której wziął udział żołnierz niezłomny Stanisław Matuszek „Góral”. Potem na miejscowym cmentarzu dyrektor krakowskiego oddziału IPN Filip Musiał powiedział o Mieczysławie Wądolnym: „To postać wyjątkowo krystaliczna i świetlista w panteonie żołnierzy niezłomnych. Jeżeli popatrzymy, w jaki sposób działał oddział dowodzony przez por. »Granita« i »Mściciela«, to jest to jeden z tych oddziałów, które bez żadnych wątpliwości, od początku do końca swego istnienia działały zgodnie z etosem Wojska Polskiego. Dlatego Mieczysław Wądolny jest pięknym wzorcem do naśladowania dla patriotów i dla młodego pokolenia, jako żołnierz niezłomny”.

Te słowa napawały Matuszka dumą, bo to przecież jego ojciec doradzał Wądolnemu i mówił mu, kto kolaboruje z władzą ludową i kogo należy zlikwidować. Tylko dlaczego pod sprawozdaniem z tej uroczystości, gdzie jest mowa o krystalicznej i świetlistej postaci żołnierza niezłomnego, na wadowickim portalu znalazły się takie komentarze internautów: „»Mściciel« to był największy bandyta okolic Wadowic. Mordował, rabował, gwałcił i Bóg wie tylko jakie zbrodnie popełnił. Pluję na tego bandziora i mam nadzieję, że smaży się w piekle”. „Bandyta, Bandyta, Bandyta, Bandyta”.

Napisać książkę

Gdy poumierali świadkowie i nie można znaleźć dokumentów, najlepiej swoje dokonania opisać w książce. Tak też zrobił Stanisław Matuszek – opisał swoją walkę z władzą ludową w drugiej połowie lat 50. jako działalność na rzecz demokracji. W książce „Moja walka o demokrację” znalazły się brawurowe akcje, strzelaniny, wysadzanie pomników, zdobywanie pieniędzy dla podziemnej organizacji. Współpracę z podziemiem antykomunistycznym, jak pisze Matuszek, rozpoczął w kwietniu 1955 r. od malowania hasel na murach, rozrzucania ulotek, zrywania plakatów propagandowych, oblewania pomników farbą. Oto kilka fragmentów jego wspomnień, z zachowaniem oryginalnej pisowni:

„W maju zostałem przedstawiony dowódcy organizacji Polska Walcząca mjr. Szczerbakowskiemu i zostałem zaprzysiężony na wierność Polsce i organizacji z zakończeniem »tak mi dopomóż Bóg«, przyjmując pseudonim »Góral«. Organizacja była podzielona na sekcje od 3 do 5 osób i liczyła wtedy 60 członków. W naszej sekcji były cztery osoby, a dowódcą był Romek w stopniu plutonowego, ja i moi koledzy Wacek i Janek byliśmy szeregowcami. Awans na kaprała otrzymałem dopiero w przeddzień święta narodowego, tj. 11 listopada 1955 r. w wieku 17 lat”.

„Brałem udział w rozbrajaniu na terenie Krakowa ubeków i milicjantów, przy czym bezpośrednio nie brałem w tym udziału tylko stałem na czatach informując, że zbliża się odpowiednia osoba lub byłem w obstawie gdyby trzeba było interweniować. Na szczęście nigdy nie trzeba było – ponieważ akcje przeprowadzali odpowiednio wyszkoleni koledzy /dwóch lub trzech./ znający tzw. chwytty komandoskie, obecnie coś w rodzaju judo. Obezwładniali przeciwnika powalając go na ziemię. Wtedy zabierano mu broń, legitymację, dowód i różne akta jeśli przy sobie miał. Jeśli był

to osobnik, który specjalnie znęcał się nad aresztowanymi działaczami opozycji i był funkcjonariuszem UB dostawał odpowiednie lanie stosownie do zasług. Podobnie było w przypadku milicji z tym że zabierano im tylko broń i dokumenty ale ich nie bito, chyba że się stawiali. Przy tego typu akcjach nigdy nie używano broni ani jej nie wyciągano. Chodziło o to żeby myśleć, że był to wybrzek chuligański. Poza tym nie napadano na przypadkowych funkcjonariuszy tylko na osoby wskazane przez informatorów, których organizacja miała zarówno w UB jak i w milicji. Inaczej było z ormowcami, zazwyczaj skarżyli się sąsiedzi, że węszą donoszą do MO np. że ktoś słucha Wolnej Europy, że kupił na lewo trochę mięsa od chłopca, wreszcie że ktoś źle wyrażał się o władzy ludowej itp. Takich delikwentów łapano na ulicy i spuszczano im solidne lanie, jeżeli nie pomogło, to spuszczano następne, aż do skutku. Ale zasadniczym celem organizacji nie było wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę, ale przede wszystkim: budzenie ducha świadomości narodowej poprzez sięganie do wartości patriotycznych i akcję propagandową”.

„Zdobywanie pieniędzy na cele organizacyjne polegało na tym, że otrzymywano od informatorów wiadomości kiedy i o jakiej godzinie na terenie całego województwa krakowskiego będą przenoszone pieniądze z banku na wypłaty dla pracowników UB, MO, PZPR i innych organizacji politycznych itp. (...) Były również napady na oddziały bankowe, szczególnie w terenie jak również na urzędy pocztowe i większe sklepy państwowe na krótko przed zamknięciem. (...) W czasie akcji nie używano broni, chyba że na postrach nawet przy rozbrajaniu milicjantów. (...) Za swoją działalność nie mieliśmy żadnych profitów, otrzymywaliśmy tylko zwrot kosztów przejazdu i ewentualnie parę groszy diety”.

Matuszek pisze, że po sześciu miesiącach awansował na stopień podporucznika. Wszystkie pieniądze z napadów przekazywał mjr. Szczerbakowskiemu, który przeznaczał je na druk ulotek i plakatów o treściach antykomunistycznych oraz przygotowywanie następnych akcji. Część funduszy przekazywano jako zapomogi chorym żołnierzom antykomunistycznego podziemia. Z początkiem 1959 r. autor książki został aresztowany, potem mjr. Wacław Szczerbakowski zginął, zastrzelony w czasie zasadzki. Organizacja Polska Walcząca przestała istnieć, a większość jej członków wyjechała za granicę.

Książka o tym, jak Matuszek walczył w Polsce o demokrację, krążyła w odbitkach kserograficznych, bo autor nie mógł znaleźć wydawcy, a w IPN też nie wzbudziła entuzjazmu.

Żądać odszkodowania

W 2012 r. Stanisław Matuszek wystąpił do krakowskiego sądu o unieważnienie wyroku z 1959 r., ponieważ miał zostać skazany za przynależność do tajnej organizacji Polska Walcząca, w której działał przez pięć lat. Przekonał sąd, że to mjr. Szczerbakowski wydawał polecenia dokonywania napadów. Ze skoku na listonoszkę dostał zaledwie 20 tys. zł, dwaj inni uczestnicy akcji otrzymali 40 tys. zł, a reszta, ok. 70 tys. zł, poszła na tajną organizację. Tak też było przy innych napadach na banki czy sklepy. Nie napadali dla rabunku, ich celem była walka z komunistami; zdobywali fundusze dla tajnej organizacji, a sami otrzymywali grosze, taki zwrot kosztów akcji. Zagięły dokumenty związane z organizacją Polska Walcząca, zmarły osoby, które znały mjr. Szczerbakowskiego, nie żyją też funkcjonariusze SB i MO, którzy rozpracowywali jego organizację. Nie pomogło powstanie Instytutu Pamięci Narodowej. Trzy zdjęcia przedstawiające mjr. Szczerbakowskiego Matuszek jakoby wręczył osobiście dr. Januszowi Kurtyce, który był wtedy prezesem krakowskiego IPN, ale zagięły one w niejasnych okolicznościach, potem Kurtyka zginął w katastrofie smoleńskiej.

W tym pierwszym procesie na sali sądowej zjawiał się świadek, dzisiaj już nieżyjący, który potwierdził bezinteresowną walkę Matuszka o demokrację. Sąd w to uwierzył i unieważnił wyrok z 1959 r. Gdy Matuszek dostał na piśmie, że jego napady były walką o niepodległy byt państwa polskiego, natychmiast wystąpił o wypłatę odszkodowania i zadośćuczynienie. Najpierw za walkę z władzą ludową dostał 101,1 tys. zł. Potem wystąpił o rekompensatę za drugi wyrok, za nielegalne posiadanie broni, i otrzymał ponad 253 tys. W sumie skarb państwa wypłacił mu 355 tys. zł, choć Matuszek domagał się 3,78 mln. Z każdą rozprawą przybywało krzywd, jakich doświadczył. Opisywał m.in., jak został postrzelony przez milicjanta w czasie roznoszenia ulotek.

Koniec snu o „wykłym”

Za swoją walkę uzyskał sporo pieniędzy, napisał książkę, zapraszano go na spotkania i uroczystości państwowe, ceniony był w IPN. Ale tego wszystkiego było mu mało i w 2018 r. złożył wniosek w Urzędzie ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych o przyznanie mu uprawnień kombatanckich przysługujących ofiarom represji okresu wojennego i powojennego, bo chciał mieć dodatek do emerytury. I to go zgubiło. Zrobił jeden krok za daleko.

Wniosek z Warszawy został przesłany do Krakowa i okazało się, że w archiwach IPN są dokumenty Komendy Powiatowej MO w Wadowicach dotyczące trzyosobowej grupy Stanisława Matuszka i jego dwóch już nieżyjących kompanów, Romana P. oraz Andrzeja G., którzy z bronią w ręku dokonywali napadów rabunkowych. W ich domach znaleziono część zrabowanych rzeczy – motocykl, zegarki, radiodbiorniki, aparaty fotograficzne. Śledztwo prowadziła Milicja Obywatelska, a nie SB, i nie było przypuszczeń, że osoby te prowadzą jakąkolwiek działalność polityczną. Poza tym krakowski oddział IPN przeprowadził bardzo dokładną kwerendę i nie znaleziono żadnej informacji o istnieniu mjr. Szczerbakowskiego i kierowanej przez niego organizacji Polska Walcząca. Zawiadomiono więc prokuraturę, która zebrała dowody na popełnienie przestępstwa i konieczność zwrotu przez Stanisława Matuszka niesłusznie wypłaconych pieniędzy.

O tym, że nikt z historyków IPN nie słyszał nigdy o mjr. Szczerbakowskim ani liczącej 100 osób organizacji Polska Walcząca, mówił na sali sądowej Rafał Dyrz, naczelnik Oddziałowego Archiwum IPN w Krakowie. Jest rzeczą niemożliwą, aby w drugiej połowie lat 50. Służba Bezpieczeństwa była zupełnie ślepa i nie zauważyła tak dużej podziemnej organizacji. W odnalezionych aktach nie ma jakichkolwiek wzmianek o uznaniu przez bezpiekę sprawców napadów w okolicach Wadowic za członków organizacji niepodległościowej. W wystąpieniu końcowym prokurator Andrzej Babicz stwierdził, że wina Stanisława Matuszka, który, podając się za „żołnierza wyklętego”, wyłudził odszkodowanie, jest bezsporna. Żadne z odnalezionych materiałów operacyjnych Milicji Obywatelskiej nie zawierają informacji wskazujących na niepodległościowy charakter jego działania.

Mecenas Łukasz Jakubowski, obrońca oskarżonego, argumentował, że jego klienta nie można nazwać zwykłym oszustem, nie miał złych intencji, uwierzył tylko w to, co sobie sam wymyślił. Tyle słyszał o „żołnierzach wyklętych”, że w pewnym momencie uwierzył, że on też walczył z komunistami i jest kombatantem.

Uzasadniając wydany wyrok, sędzia Wojciech Kolanko powiedział, że Stanisław Matuszek z premedytacją zaplanował mistyfikację i wcielił się w rolę kombatanta. Nie przedstawił żadnych wiarygodnych dokumentów ani świadków. Książka, którą napisał, nie jest żadnym dokumentem potwierdzającym jego czyny na rzecz walki o niepodległy byt państwa polskiego i nie może być uważana za dowód w sprawie. Podanie wyroku do wiadomości publicznej jest celowe, bo w swoim środowisku Matuszek był postrzegany jako bohater i lokalna społeczność powinna się dowiedzieć, że otrzymał wyrok skazujący.

Wyrok ten jest bowiem bardzo ważny, choć nikt na sali sądowej nie powiedział, kto poza Matuszkiem jest jeszcze winien, że takich „żołnierzach wyklętych” jak ten spod Wadowic z każdym rokiem przybywa.